

Jerzy Kozarzewski

"Życiorys na dni się nawleka"

Ślad luki w życiorysie

Brało się ciepły uśmiech - ze spuszczonego wzrokiem -
za ucieczkę z jenieckiej gromady żołnierzy,
winszowanie za zręczność, gdy zuchwałym krokiem
wyszło się - warcząc szwabsko - z kotła w Sandomierzu.

Brało uśmiech wdzięczności za bieg przez ulice
ostrzeliwane wzdłużnie, poprzecznie i z góry,
by prócz wody na zupełną mieć coś na miednicę
i kapkę do umycia dziewczęcej fryzury..

Karmiło się wspomnieniem, że w nadmiarze ludzi
wgniecionych w bydłęcego wagonu podłogę
było się kimś, kto sobą sąsiadów swych trudził
i komuś do ścierpięcia naobciążał nogę.

Potem wzmianka o Auschwitz i hasło na bramie
że „praca daje wolność”. Jak to ma być tutaj?
A więc może Mauthausen, gdzie dźwiga się kamień,
pnąc się po stromych schodach w kulawiących butach.

A po wojnie los szpiega. Wyrok śmierci. Łaska.

I długie lata w celach.

Lecz dom wiernie czeka.

Niesie w miłości wszystko. Niczego nie strzaskał,

I gdy tak ten życiorys na dni się nawleka,

biorąc los, który grozę w zwykły czas pomienia -

- czy zawsze jest dość miary w pełni dziękczynienia.

Milczenie

Poezjo, niesiesz ciszę wielkich wyładowań...

Sny najbardziej upiorne, koszarne zwichrzenia
szeregują się w strofy, których zwykłe słowa
zaledwie brzmią półdźwiękiem pełnego cierpienia.

Mowo własna, urodna, mowo przebogata,
jakże cię zakląć trzeba, byś krwią zatętniła.
Zali z gwary cię zbierać po wieśniaczych chatach,
zali nadśłuchiwać przy świeżych mogiłach.

Słowo starły wieki, ludzie wyświechtali,
a dziś ma to słowo dźwięczeć jak milczenie
jak cisza pokutna ma serca rozpalić
i do bezdna pogłębić rozpacz i cierpienie.

Słowo starły wieki, ludzie spowszednili,
a jutro to słowo ma radość powitać,
ma zabrzmieć harmonią szczęścia wielkiej chwili,
ma barwnym łukiem tęczy nad ziemią zakwitać.

Mowo własna, urodna, mowo przebogata
pójdź dziś za mną w otchłań bezdennych ciemności
i przecierp milczenie, co pierś mi przygniata,

by nasycić się ciszą, która wszechdźwięk gości.

Poezjo, z ciszy żywioł wywiedziesz w przestrzenie,
zagrzmie tobie piorun, pogoda zadźwięczy,
słowa odzyskają swe dogłębne brzmienie
i rozepną się w łuku siedmiobarwnej tęczy.

Łamanie laku

pamięci Ojca zmarłego w lutym 1916 r.

Zapisać. Niech będzie zapis trudnej chwili
i niech tak przetrwa jak lak na pergaminie
z odciskiem pieczęci. A gdy sens słów ginie
komuś - niech lak złamie i sens słów odchyli.

Tekst jest tu obrazem widzianym w szczelinie
powiek, gdy sen trzyma, choć-śmy się zbudzili
jak jeniec w ucieczce, nocą, wśród badyli,
w drodze do Krzemieńca, gdzie przyjaciel przyjmie.

Tekst stuka kołami wagonu, gdy biorą
wszystkich podejrzanych. A ja bez dowodu.
Już są przy przedziale. Stają tu zaporą.

Halt! Tschenschou!

Wziętych na peron tu wiodą.

Są znów.

Mylą przedział. Obok walą sforą.

Tak można łak łamiąc, dzielić się przygodą.

Uczeń bez liczby

(...)

Samotność! Może kiedyś i była w tej celi
lecz dzisiaj ktoś tu ze mną każdą chwilę dzieli,
tylu ich tędy przeszło - być może; to oni
być może że pozostał nie tylko ślad dłoni,
które coś tu wryły na wapiennym tynku.
Jest ten, który się bawił z tą nagą dziewczynką,
jest ten, co rozwiązywał liczbowe zagadki,
jest ten, co krążył myślą wokół chorej matki,
jest ten, co jedno imię kładł na każdej ścianie,
ten co prosił owocnie i ten, co daremnie,
wszyscy oni są tutaj - a może są we mnie,
krążąc w rytmie tych kroków, którymi przez celę
długość dnia mego mierzę i w godziny dzielę...

Samotność! Ktoś ją nazwał przechodzeniem Boga.

Widać i tędy jakaś wiodła jego droga
bo na ścianie ktoś wrył naglące wezwanie
aby się tutaj modlić! Więc się modlę „Panie”...
„Nie każdy który mówi” ... czylim jest wybrany?

Nic z tego nie rozumiem! Gniotą mnie te ściany.
Ciasno mi z twoją myślą! Jak wypełnię wolę,
czy wtedy gdy dam opór, czy kiedy przyzwolę...
Więc dam opór do końca, w czynie, w słowie, w myśli
choćbyśmy obydwaj do nicości przyszli
Czynem już się oparłem - stąd przecież ta cela,
stąd samotność daremnie w dwoje mnie rozdziela
pokusą obłąkania lub sznura namową,
tak! czynem się oparłem - teraz czas na słowo...
Lecz chyba przemilczenie człowieczej rozpacz
i człeczej niewinności jakiś opór znaczy...
Tak! Słowem się oparłem - teraz myśli kolej...

Ojcze nasz

łamiesz mnie, niszczysz, doświadczasz cierpieniem,
wzniesione czoło przytłaczasz do ziemi,
zwalasz mnie z kolan, a gdy w prochu leżę
w rozdroża wgniatasz popod krzyża cieniem
i tam mnie słuchasz Twym wielkim milczeniem.
Ojcze nasz, który jesteś w niebie.

(...)

łamiesz mnie, niszczysz i w pył drobny ścierasz,
raz już powstałem i wyrośłem z pyłu

dźwignięty z ziemi Twoją Boską Siłą,
pełny tchu Twego co mi władztwo dawa.
Czyż inna dzisiaj jest moja postawa,
że chcesz mnie znowu w drobny pył obrócić?
A przec mnie łamiesz, jakbyś chciał popsować
wszystko co stworzył, by stworzyć od nowa,
by nowych ludzi tu na ziemię rzucić
i wtedy ścieżaj rozchylić podwoje
poza którymi wiecznym tchnie pokojem.
Przyjdź Królestwo Twoje

łamiesz mnie, niszczysz, ślesz na mnie siepaczy,
gnasz mnie bezdrożem w przełaj przez tarniny,
pędzisz mi wicher w obłąkane oczy,
Twa władcza ręka na czole mi znaczy
znamię upadku - stygmat mojej winy,
i tak znaczonej muszę kornie kroczyć
tam gdzie Ty każesz, bo jeśli bym nie szedł -
zgarniesz mnie w ciszę i wydasz mnie ciszy,
ciszy, co do krwi jestestwo rozczesze.
Od Twoich gromów szesznią me nadzieje,
Ty zsyłasz rozpacz, co długo nie dnieje,
I Ty mnie smagasz własnych szyderstw śmiechem,
z Twego dopustu włazi głód pod strzechy
i wespół z nędzą dzieci mi kolebie
Bądź wola Twoja na ziemi i w niebie.
(...)

Egzekucja

Tyżeś to wybrał drogę, która mnie przywiodła
pod bezimienną ścianę, skąd mnie śmieciem zbiorą.
Tyżeś to wybrał chwilę, bym nie widząc godła
umiał krzyż Twój powtórzyć bez cienia oporu.
Tyżeś to wybrał ciszę - tę przed salwą ciszę -
bym mógł, jeśli bym zechciał, wielki głos Twój słyszeć.

I oto stoję Panie z człowieczą niezgodą
dla Twojego wyboru mojej boskiej drogi.
I nie umiem w Twej woli znaleźć się swobodą
tak, by mnie bez przymusu, lotne, niosły nogi.
I zwieszam się nadzieją w próżni pocieszenia,
że przejdą po mnie lepsze, zdrowsze pokolenia.

Broń chrzęści za plecami. Czyż aż tego trzeba,
żeby spojrzeć prawdziwie w głąb Twojego nieba...

O daj mi Panie siłę w tej ostatniej chwili
bym umiał Ci zawierzyć, że mym wypełnieniem
wszyscyśmy się do Ciebie o krok przybliżyli
i nie odchodząc ziemi opuścili ziemię.
I odptać mi pewnością wielkość zawierzenia,
a pytające słowa - czystością milczenia.
I dozwól, bym krwią obmył ciemną buntu plamę

Amen.

Warszawa, listopad 1943

Nie chcę trwać w Tobie gorzkim płaczem,
gorzkim... Jedyne, Najmilejsze.

Widać nie mogło być inaczej...

Nie chcę trwać w Tobie gorzkim płaczem,
ten płacz mnie krzywdzi i umniejsza,
boli... Jedyne, Najmilejsze.

Nie chcę trwać w Tobie raną krzywdy,
raną... Jedyne, Miła, Miła,

bo się nie zgoi we mnie nigdy...

Nie chcę trwać w Tobie raną krzywdy,
by nam bliskości nie krwawiła,
naszej bliskości... Miła, Miła

A chcę trwać w Tobie pocałunkiem
wszystkiej miłości Najmilejsza,
tej, co jest darem i rabunkiem.
I chcę trwać w Tobie pocałunkiem,
by pełnia była najpełniejsza
teraz i...
nie płacz, Najmilejsza.

Mokotów, cela wyrokowa, sierpień 1946

Móc przyjść do Ciebie tą wiosną

Móc przyjść do Ciebie tą wiosną młodą
samym uśmiechem, samą pogodą.
Przyjść w rytmie wiersza, tak by od ręki
umieć Ci składać proste piosenki.
Nic się nie skarżyć, nic nie narzekać,
że się tęskniło długo z daleka.

Przyjść bez pamięci tych twardych godzin
kiedy się w sercu nienawiść rodzi,
tych dni do których o świcie budzi
niechęć do życia twych braci - ludzi.
Przyjść lekko, lekko, z taką swobodą
by zaraz razem pójść w wiosnę młodą.

Czy dzisiaj mógłbym tak wrócić, Miła,

by tylko wiosna nad nami była?
Czy mógłbym proste składać piosenki
tak, by nie było w nich lat udręki,
a z lat tęsknoty tyle pamiętać,
by móc dzień zwykły zamieniać w święta?

Czy mógłbym z chęcią taką się rozstać,
by w dom twój przynieść zmęczoną postać,
przynieść tęsknotę za twą usługą,
łasknienie pieścizot za krzywdę długą
i to natręctwo - o tkliwość - żebracze...
Najmilsza, wiesz już dlaczego płacę.

Ten wiersz, Najmilsza, choć prosty w rymie
szedł przez opory jakieś olbrzymie
aż do łez doszedł... Może w tym płaczu
przyszłe się wiersze dziś tak wyznaczą,
że słowa grudę jak ruń przebodą
i wiosną tylko zakwitną młodą...

11 IV 1954, Mokotów

Powiedz mi cokolwiek...

Madzi

Powiedz mi cokolwiek - choćby bez znaczenia,
nie słów przecież słucham, lecz twych myśli brzmienia,

nie ze słów przecę czerpię, ale z myśli dźwięku
i barwa - nie słowa - gra we mnie piosenką.

Powiedz mi cokolwiek - na przykład: żeś zdrowa,
to są przecież zwykłe, jak najprostsze słowa,
a wiesz co w nich słyszę? - że nie masz trudności
w pogodzeniu smutku z uśmiechem radości.

Powiedz mi cokolwiek! Słów i tak nie słyszę.
Łowiąc całym sobą pod słowami ciszę.
A to co mi powiesz - choćby od niechcienia,
brzmi we mnie oddźwiękiem pełni twego brzmienia...

Powiedz mi cokolwiek!

Kraków, 11 kwietnia 1943

Maria Magdalena

O uzdrowiona i z martwych powstała,
bądź pochwalona pełnym twym imieniem
Mario z Magdali....

krasę twego ciała

kładłaś jak bielmo na każde spojrzenie
tak, że ześleplem w stepie twej urody.

O uzdrowiona! - kładziesz swoje dłonie
ogromem ciszy i cudem ochłody

na moje skwarem przepalone skronie.

Bądź pochwalona o Mario z Magdali!

Ożyłaś we mnie objęta płomieniem,
który nie paląc - aż do głębi pali,
błyszcząc tęczą pod każdym spojrzeniem...
Bądź pochwalona mojej krwi tętentem
pogodą myśli i siłą do życia
co i przez zwykłość może stać się święte
i pójść drogami wpierw do nieprzebycia.

Twój cud jest we mnie. Twoje uzdrowienie
zgarnia mnie w jedność z pustynnych oddali.
Bądź pochwalona pełnym twym imieniem
Mario z Magdali, o Mario z Magdali!

Warszawa, 23 1V 43

Orzech

Suknia spływała w oczach
prawie bez szelestu,
kładąc się na ziemi
opadłymi liśćmi.
Nad orzechem stał czas czekania
nie inny niż ten,
w którym zsunięta z ramiączek koszula

osuwają się do stóp,
odsłaniając ciało kochanej kobiety
gotowe do oddania.

I w jednej chwili czas przyniósł
nagle inną nagość:
w ciemnych gałęziach orzecha
stanęła ona w szkielecejszej postaci
okrutnego zubożenia urody,
dojrzewającej z wolna w pąkach liści
bujnie tkających pokrój szaty
zdobionej wiosennie kwiatostanami
z gron i z kotków,
a w późniejszych porach -
butonami zielonych oszyć owoców,
ukazujących z czasem w pęknięciach
najpełniejszą dojrzałość gatunku.

I oto całą tę wspaniałość
rozkwitania, mocy
i bujności
zamienia w nicość
krótka chwila
jednego ranka
jak gdyby
stawał tu nad wszystkim
czas Sądu Ostatecznego.

19.10.1994

w dniu 50-ej rocznicy naszego ślubu

La Folia Corellego przyszła wtedy z chóru,
udźwięczniła najpełniej głos ślubnej przysięgi,
stała się słupem brzmienia po najcichsze dźwięki
utrzymane w kościele bez pogłosu wtóru.

I szło się do ołtarza w opasaniu wstęgi
wzwyż rosnącej La Follii - w przyszłość bez konturu,
w miasto, gdzie wciąż trwał rozstrzał u miejskiego muru
tych, co wzięto za ludzi, którzy się nie zlekli.

Pół wieku trwa dźwięk skrzypiec. Wspaniały Guarneri
wraca głęboką frazą. Lecz muzyk nie żyje.
Tej rocznicy - nikt skrzypcom głosu nie udzieli.

A jednak, od ołtarza - nie wiedząc nic czyje
ręce wzięły instrument - słyszysz jak się ścieli
Bach-Gounod pełnym dźwiękiem w ich „Ave Maryja”.

22 lipca 1993

Zakwitły lipy. Fala pełna miodu płynie
przez miejsce od nagła olbrzymie.

A tak niedawno - po prostu za młodu -
tu była skrytka w lipy baldachimie.

Tu szukał w skwarze czas ulotny chłodu,
tu z pszczoł brzęczenia praca brała imię.
Dzień wstawał wonny i trwał do zachodu
nie unurzany ni w kurzu, ni w dymie.

A tu, gdzie dzisiaj pachnie kwiat lipowy
stoję w obręczy, która świat kaleczy
szpiegostwem serca i pewnością głowy

drążącą chytrze zły porządek rzeczy.
O, lipa w kwiecie, twój balsam miodowy
uzdrowił wielu. Niech i mnie uleczy.

Szukanie człowieczeństwa

Chwycić tę inność ze światła zrodzoną,
z odmiany kształtu, z dotyku skojarzeń.
Przyjąć od chwili w dobroczynnym darze
zanim powszedniość skryje ją zasłoną.

Przyjąć śmiech ludzki, kpiny i potwarze,
wzruszenia ramion i twarz wykrzywioną.
Cedzić, co niesie przypochebców grono
i trwać w czekaniu jak inni malarze.

I choć czekanie bywa wciąż jałowe,
wciąż nie przychodzi dar tego spojrzenia,
które ogarnia i serce i głowę,

tym, że powszedniość w niezwykłość przemienia -
-jest się gotowym dać życia połowę
za cień wśród światła i światło wśród cienia

Nysa, 2 lipca 1994

Wierzba

żonie

Kosz pełen pokrzyw na raki
ciągnięte kaczorkiem
z rzeczki oplecionej sitowiem.
Nad koszem - wierzba głowiasta
na pniu
pełnym brzęku os.
Po dnie pod wodą
nieporadnie pełzają raki do żabiej przynęty,

a na wodzie
stoi odbicie nieba,
zielonej głowy drzewa
i mojej chłopięcej postaci.

Wierzba płacze nad Chopinem. Szeregi
wierzb garbatych liczą rytmy wierszy,
a z mgły
wychodzi drzewo
zatrzymane pędzlem artysty
po to, aby odkryć młodość i siłę
i wywieść się z tej ziemi,
w której siedzą wierzby.

W parku naszego miasta jest wierzba
- Ty wiesz która, miła moja -
napęczniana brzękiem pszczoł
w czasie kwitnienia.

Tu przyszły na świat nasze dzieci
i pewnie dlatego tę wierzbę
ogarnia wiatr.

Kaczeńce

Opite soczystą wiosną
jędrne i mięsne

żółte kaczeńce
zgęszczoną barwą
zlaną - pod czystym jasnoblękitnym niebem -
do rowu dzielącego przyleśną łąkę
przecięły drogę niedzielnej przechadzce.

W takich kaczeńcach,
na łączce wśród lasu,
w powszednim dniu wojny
kula
trafiła przyjaciela broni.
Pozostał wśród kaczeńców
ogarnięty ich bujną - sytą wody i słońca - gęstwiną
opuszczony przez swoich
uchodzących w popłochu.

A teraz, mój synu,
towarzyszu niedzielnej przechadzki,
jasnogłowy załączku bohatera,
kiedy stoimy tu przed rowem
tającym głębokość pod przykrywką kaczeńczej gęstwiny,
myślę o tym, jak omijać
ścieżki, które wiodą do zaplątania się
w nienawiść
i w gotowość zabijania.

A ty mówisz do mnie:

„tata - skoczmy?”

Skaczmy.

Wiosenna jabłoń

córce

Jabłoń

jabłoń biała

z rosy rannej nieotrząśnięta

dotknięta czerwienią

na płatkach każdego kwiatu

rozkwita rozchyleniem

tej jednej godziny

kiedy niebo ma

niewpowtarzalną głębokość rozjaśnienia

- nachyla się nade mną

i ogarnia mnie gałęziami

w których

nie naprządnął się jeszcze

brzęk pszczół

A ja jestem ciągle wypełniony smakiem

leciutko cierpkich jabłek

spęczniałych w złotawą kruchość
dojrzałego owocu.

I wiem o tym co widzę teraz
dopiero wtedy
gdy wgłębienie nieba
zmienia poranną jasność.

Spacer z synem

Marcinowi

Tatusiu! Wiesz co?

- Wiem, mój Malcze jasnogłowy,
wiem:
w głowinie twojej
niewiele jeszcze
zdołałeś uporządkować
ze świata.

Wiem jednak, że swoich pięciu lat
nie przeżyłeś
na słuchaniu przemówień.
Po prostu rosteś
siłą ziarna pęczniejącego
w wilgotnej glebie,
siłą kłacza
zbierającego wszystko

co można podnieść w łodygę
otwierającą jasną barwę
do słońca.
Idziesz teraz obok, pewnym krokiem
znawcy marek samochodowych,
postrzegacza koloru ławek na deptaku,
smakosza jabłek zarumienionych w dolinie Nysy.
Biegiesz luźnym krokiem zwycięzcy
do mety, o której sam
jeszcze niczego nie wiesz.
I jeśli zechcesz kiedyś
napisać wiersz oddychający
ziemią,
którą w tej chwili mierzymy
naszą niedzielną przechadzką -
będziesz mówił o sobie
tak łatwo
jak teraz idziesz.

Wiesz co - tatusiu?

-Co?

A jak się robi dzień?

Leśna droga

Na wierzchu jest leśna droga

wypełniona słonecznym zapachem igliwia.

Na obrzeżach drogi zielona trawa obiecuje ukrycie
pleśniaworudym rydzom.
Krzaki jeżyn w rozpłózeniu
sięgającym z dawna nie nawiedzanych kolein
kłębią się pomiędzy młodymi świerkami
kładącymi szerokie spódnice na ziemi.
Górą ubarwione czerwoną korą sosny
wyznaczają płonącymi w słońcu pionami
rytm wędrówki piechurom.

To na wierzchu -
- a pod spodem ?..

Pod spodem stoi
czas mierzony kobiałkami lepkich maślaków
i liczbą pękających prawdziwków,
czas pachnący konwalią zerwaną
dziecięcymi rączkami nieżyjącej już siostry,
czas szeleszczących przesypaniem do wspólnego kosza
twardych białoczerwonych jagód borówczanych,
z których matka smażyła na zimę ulubiony przysmak.

Pod spodem trwają
godziny naszych spacerów leśnych,
kiedy dojrzewaliśmy do bliskości,
idąc tropem słów i beztropem milczenia.

Pod spodem słychać
leśne szумы, których nie umie zapisać historia.

I kiedy dochodziłem do białej brzozy,
na której przysiadł żalobnik
zwierający i rozwierający skrzydła,
pomyślałem
że tu jest granica
tego,
co zostaje na wierzchu
i tego,
co osuwa się pod spód.

Wypad za miasto

Deszcz ciepły rzęśisty
wypełniony światłem słońca
toczącego się poboczem chmury.
Masz już mokre włosy.
Strużki wody spływają ci
po skroniach
obiegając łuk brody
i łącząc się na szyi
ze strużkami płynącymi z karku.
Oboje śmiejemy się szczęśliwie
ucieszeni tą niebieską kąpielą
przywracającą nam
leśną świeżość i gotowość
do łownej gonitwy
bąka dudniącego

we wnętrzach liliowych dzwonek
lub wiewiórki
rozmiatającej puszystym ogonem
zapach zastałej w gałęziach jedliny.

Ale deszczu nie ma.

Jest sala szpitalna.

Strużki potu na czole

koszula przyklejona do pleców:

ciągle

nie udaje się wprowadzenie igły

do schowanych głęboko żył

u dziecka przywiezionego w agonii

na chwilę przed wyjazdem

po ten rozświetlony deszcz.

A przecież

wszystko zostało oddalone

z leśnego oczekiwania.

Park jesienny

Jesienią czas odchodzi.

Nie widać jutra. Jest wczoraj

przypęłzające mgłą

do obnażonych drzew

na których dzisiaj zawisłem
jak liść niewyskubany wiatrem.
W dole pode mną
szeleszczą dzieci
pełne kasztanowej radości.
Bułgoce ich śmiech.
Kipi gonitwa przy pniach.
A smuga słoneczna w którą wbiegają
niesie je ku górze
wyżej
i wyżej
ponad gałązkę, z której opada
mój liść.

Wieczorny rachunek

Z nieba
do którego świt poranny przytwierdził
krajobraz mojego miasta schowany w śniegu
znad brzozy
bielejącej plecionką oszronionych gałązek
opadał jasny księżyc
cieniutkim wąskim ostrzem
tak ostrym
że jedno jego dotknięcie
mogło odciąć od pośpiechu dnia zaczętego przed chwilą
od pogrążania się w codzienne sprawy

których nie umiem zbierać w całość
od niechęci spiętrzanej
na progach spotkań z ludźmi.

Dowiedziałem się jednak o tym
wieczorem -
kiedy dzień
stawał się niezapisanym wspomnieniem.

Nad albumem z fotografiami

Zatrzymać chwilę. Niechby trwała,
by krótkim błyskiem czas nie mignął
tak, że doznania zaraz stygną
jakby nie były w tętnie ciała.
Jakby przeżyte szły gdzieś na dno
i tam leżały, gdzie opadną
w drobinach nie związanych licie...

Gdy w ciągłych zmianach idzie życie
— migawkę chwili błysk zatrzyma
i jest pamiątka do albumu.
A tam wspomnienia wnet przyfruną
i staną wiernie przed oczyma.
Lecz czy w albumie nie zabraknie
zdjęć, gdy się kryje jakieś troski,
źle radzi z sobą, wsparcia łaknie,

dobrej pomocy chce się boskiej.

Tu myśl przychodzi uporczywa,
że trzeba wiązać chwil ogniwa
na żywo. W łańcuch. Nie rwać nigdy.
Ze szczęściem wiązać i złe krzywdy

18 maja 1995

Otwarcie Księgi

Nie stroń od Księgi Psalmów, nie bój się powtórzeń,
ucisz swój głos solowy, chcący nieść się górą
i sprowadź go na ścieżkę - do zgodnego wtóru
-łączącą różne głosy w pełno brzmiącym chórze

Lecz czym dziś pieśni Psalmów - poezji figurą
z pędzeniem stada owiec na zielone wzgórze...
Nam droga przez cmentarze, z wejściem w krwi kałuże,
z rojeniem się w śmietniku, danym na żer szczurom.

Nie znaleźć w chytrym zgiełku głosu, który może
wrócić ubrukanemu jego ufność młodą
i wypełnić wołaniem rozdęte przestworze...

... ale drzewo sadzone nad płynącą wodą
wśród liści rodzi owoc w wybranej mu porze,

by smak jego i żrałość mogły być nagrodą...

7 marca 1994

Tkanina

Tkanina się przetała. A tak się ją tkano,
plotąc wątki z osnową i spiesznie, i śmiało,
kryjąc węzły kolorem lub rzutem deseni,
w którym się raport splotów zawsze świeżo mienił.

Przetała się tkanina. Zsłabły w wątkach nici,
jakby je pająk ciągnąc w niewidzialność chwycił,
a w parkanie osnowy rytm się tak pozmieniał,
jakby tędy szedł podmuch ostrego płomienia.

Tkanina się przetała bez żadnych zahaczeń,
dziś, gdy się było jeszcze tak, jak co dzień tkaczem,
kiedy złoto się wplata w osnowę z karminu
i tak sploty się wiążą, by błękit nie zginął.

I oto nagle pustka przez wszystko przeziera.
Zostają tkane resztki, szmata, brudna ściera
i klęska jakaś straszna zaprawiona płaczem,
że wszystko, wszystko trzeba tkać inaczej.

I byłoby nadziejnziej, mniej trwoźnie i smutno,

gdyby można choć chwilę tkąć zwyczajne płótno.

Ucieczka poety

Spotkać swą ciszą i w dniu trwaniem,
życiem liczonym prostym rytmem
nieszczęście cudze w dnie z rozpaczą...
Cóż w tym spotkaniu jest niezwykle
i cóż spotkania takie znaczą
i czemu stają się wyzwaniem...

Czy poddać życie swe odmianie,
że stało w chwastach nierozkwitłe,
w pragnieniach śmiechu - nigdy: płaczu.
Czy myśleć: każdy ma swą bitwę
z życiem i dni jej los inaczą
na radość albo na płkanie...

A może starczy już i tyle,
by oddać z siebie jedną chwilę.

Nysa, 11 sierpnia 1995

Powrót Beniowskiego

dzieciom

I oto Polska. Zwycięska wśród śmierci
i przeokrutnie do życia kaleka.
Niosąca w sobie Katyń i Oświęcim,
żyjąca życiem, które ciągle czeka,
nie odchodzącym z tej strony pamięci,
gdzie nad cierpliwość wszystko się odwleka,
nieważna z walki i z tego, że jest tu,
lecz z Lipcowego ważna Manifestu.

I ludzie krążą tutaj zagubieni,
ci, co szukają śladów swej rodziny
z kartek zatkniętych wśród zwałów kamieni
i ci, co pragną nie pozbyć się krzyny
jakiejś nadziei, że coś się odmieni
i są gdzieś przecież pomyślne nowiny.
A nad tym wszystkim - wrzawa Manifestu,
że nowym władzom nie brakuje gestu.

I oto Polska. Tutaj ma na kiju
na sztorc stawianym, co noc, siadać w
śledztwie ktoś, by podpisać, że jego nie biją,
choć on kraj zdradzał ohydnie i niecznie,
wchodząc... no właśnie, w służbę... ale czyją,

bo w czym chciałby widzieć kraj sąsiedztwie?

No, „żałko” słuchać takiej niemej głowy.

„Lecz my czas mamy”. „Brać go oddziałowy”.

Już przed więzieniem w kolejce wiadomo:

od kogoś paczki przyjąć dziś nie chciano.

Nie ma już więźnia. Jest więc trwoga w domu

co się z nim stało? Dokąd go zabrano?

Czy los podzielił nie znany nikomu,

o czym ktoś mówił, płacząc wczoraj rano?

Lecz ktoś wymodlił w paciorkach koronki

twarde warknięcie w jednym słowie „Wronki”.

I oto Polska więziennie zrównana,

choć rozróżniona ciasnotą przestrzeni

i nie jednako z wolności obrana.

W tłoku cel wspólnych cierpią zbyt ścieśnieni,

źle siebie znosząc i wiedząc od rana,

w którym przypadku kto się dziś odmieni.

A w pojedynkach stoi martwa cisza

nieraz diabelska bardziej niżli mnisza.

(...)

I oto Polska jak rojne mrowisko,

gdzie więcej ruchu niż samej roboty

gdzie regułą bywa widowisko,

że zdjęte wczoraj, dziś się stawia płoty,

kryjące wykop przy dawnym, tuż, blisko.

Tak się też dwoją pracy tej obroty

i tak z roboty jest dorobek mały,

choć statystyka ciągle pełna chwały.

Idą odbiory. Choć nie ukończono

budów w terminach, lecz plan wykonano,

ciesząc się wszędzie partyjną osłoną.

Są więc i premie. Swobodniej też rano

znajduje miejsce gdzieś piwoszy grono,

czyniąc spokojnie to, co zakazano.

A komuś z prasy żurawi obsługa

mówi, że tutaj „rośnie Polska druga”.

Lecz właśnie „druga” przyszła na Wybrzeżu,

gdzie już nie pierwsze rozległy się strzały,

ciała na bruku też nie pierwsze leżą.

Naród znów winny, ciągle niedojrzały

i o klasowym myślący przymierzu,

ślepo złąkniony narodowej chwały.

Trzy krzyże znaczą to wejście do Polski,

jak bywa z krzyżem i na progu wioski.

1991-1992

Odszedłem z ciebie, Polsko, do kraju zwątpienia,
gdzie każda rzecz prawdziwa w swój pozór się zmienia

i gdzie, jak popychadło, między ludźmi błądę.,
nie biorąc darów życia, lecz biorąc pieniądze,

a szukając czy nie ma tu wrzawy radości,
trafiam na odstonięcia i uroczystości.

Tak stałem się wygnańcem. A ten kraj zwątpienia
dał mi obywatelstwo z paszportem milczenia.

Więc milczę, słowa łykam - a nadzieja ludzi,
że to, co przemilczane kiedyś się obudzi

i obudzone pójdzie jak ciepła ulewa,
od której wszystko nieme wiosennie zaśpiewa.

Nie będę darmo czekać tej ogromnej wiosny.
Wrócę wcześniej do Polski w czterech deskach z sosny.

Nysa, 7 czerwca 1984

Kraj Synów

pamięci Stefanii Szuchowej w dniu Jej Imienin

Ojczyzna: kraj wybrany czy odziedziczony?

Których bierze się ojców, by po nich dziedziczyć:

czy tych, których witały brawa i ukłony,

czy tych, którzy z więziennej dźwigali się pryczy,

czy tych, co mogą mówić o racjach swych czynów,

czy też tych nade wszystko, co umieli zginąć.

Dzisiaj wiernie Ojczyzny święci się rocznice,

na Apalach Poległych mniej ojców niż synów.

Ojców bez boju bito strzałem w potylicę,

by ze zwycięstw nie dali Ojczyźnie wawrzynów

i by trwali w pamięci ofiarą daremną,

nie dającą sił ludziom, by zgnieść swą nikczemność.

I było jej -jest nadal - w Ojczyźnie niemało,

choć już bez sądów w celi, a w kark - bez ołowiu,

w gonitwie zawłaszczania, gdzie prawa nie stało

i w lepie łapownictwa, zawsze w pogotowiu.

Mówi się, że bogactwo - choćby kilku - wiedzie

do podniesienia kraju, dania rady biedzie.

A jakże jest z ojcami, bijącymi dzieci

tak okrutnie, że trzeba szpitalnej pomocy.

Jak z tymi, co nieletniej własnej córki sprzeciw
nie daje jej obrony przy najściu wśród nocy.
Cóż, wciąż przegrane życie. Wciąż w jakiejś niewoli
alkoholu, hazardu, niećwiczonej woli.

Ojczyzna - kraj wybrany czy odziedziczony?
po których ojcach synom w dziedzictwo przychodzi:
po tych, których zęgały sztandary i dzwony
czy po tych, którym ręki podać się nie godzi.
Czyżby się razem niosło chwałę i nikczemność,
by iść wiernie i wiernie przez największą ciemność?

Nysa, 2 września 1994

Przejdźcie ulicą Celną

Stoi tu w środku miasta mały kościół bramny,
gdzie Gabryjel Archanioł u Najświętszej Panny
- w scenie chwyconej w ramy wielkiego owalu -
wraz z Nią słucha w godzinkach, jak Ją ludzie chwalą...
Kościółek zastępuje trochę trakt chodnika,
budząc wspomnienie bramy, którą się zamyka,
by miasto od napadu chronić i rabunku...

Tędy, w czterdziestym piątym w chrzęszczącym rynsztunku
czerwonogwiezdnych czołgów i dział u tankietek
weszła zwycięska armia na jakiś półmetek
zimowej ofensywy.

Miasto się oddało.

Z fasad, gdzie dłoń rzeźbiła kamień w miękkie ciało,
spod nadproży okiennych czy z wież miejskich z góry,
strzał nie padł.

Miasto wyszło w tchu architektury

niosącym jasność piękna ku zwycięskim rotom.

I dziś, gdy od kościółka mierzysz trakt piechotą,
do Rynku, patrz przed siebie. I wtedy jedynie
zjawi się - jak przy całkiem otwartej kurtynie -
ta scena, kiedy miasto, pewne swej urody,
lęk w sobie przewycięża przed wtargnięciem hordy.

Dziś z tych szczytów, widocznych z ulicznego gardła,
zbyt skromna odbudowa część blasków odarła.
Ale i w tej skromniejszej, mniej świetnej postaci
stanowią tę część miasta, która je bogaci,
zwłaszcza, że u stóp szczytów - z Rzymu skopioniana,
wprost z Piazza Barberini - stoi tu fontanna.

A więc Rzym -jak to mówią. Rzecz prosta - Rzym Śląski.

Choć brak siedmiu pagórków, teren inny, grząski
i rzeka pokaźniej szał, mostów mniej przez rzekę.

Ale tu biskup - księżę sztukę brał w opiekę,
a ten jego mecenas, jak papieski w Rzymie,
sprawiał, że liczni chcieli mieć tu na czymś imię.

Jest więc i Piękna Studnia, jest i Baptysterium

- fundacje to mieszczańskie, ale całkiem serio
na poziomie niemałej magnackiej fortuny...

Inni nie chcą brać Nysy za Rzym z bogactw łuny,
lecz z jej statusu państwa, co trwa w swej postaci,
kiedy sąsiednie księstwa idą w działy braci,
drobnieją w majątnościach i niszczą w wojnie,
że nie ma pokolenia by ktoś żył spokojnie...

I gdyś w tych „rzymskich” myślach zastygł przy fontannie,
nie umiejąc z wyborem uporać się snadniej,
widok domów, stojących w krąg na gruzowisku
z nowym się podobieństwem pojawia tuż, blisko
i budzi się w pamięci historia znajoma:
S a c c o d i R o m a.

2.08.93

Katedra pod wezwaniem

św. Jakuba Apostoła

na ukończenie budowy

(...)

Przyjm Panie na świadectwo naszej człecznej wiary

- chociaż słaba jest ona i uboga w słowa -

ten dom z pracy rąk naszych i wszystkie ofiary,

któreśmy nieśli wtedy, gdy trwała budowa.

Przyjm Panie na świadectwo człowieczej nadziei

-choć słaba jest ona i w rozpacz pochyła -

ten dom w którego ściany włożyliśmy dzieje

i tych dni, kiedy z nami łaski Twej nie było.

I weź pod krzyż to wszystko, cośmy tu przynieśli

w myślach i sercach chromych, w rękach i na barach

I miłość świata czystą - dobrą miłość ześlij

tak, by na każdą chwilę starczyła jej miara.

Trzy sonety o istnieniu

Znów -jak zawsze - ta droga: w wybojach chodniki,

tynki domów pokryte głupią bazgraniną,

jakiś chłopak wulgarnie się droczy z dziewczyną i

ten nawet, kto chciałby kimś tu być, jest nikim.

I kroki tu nijakie jak dni, które płyną,

trzymając w zadmieniu zastate nawyki -

zwykły żywot człowieczy z miejskiej statystyki,

w której ciepła nijakość nie może być winą.

I oto na tej drodze bez zjawy anioła

przychodzi przeogromne i żywe wzruszenie,

że żyje się w cudzie, cud trwa dookoła,

a łaską jest tu także codzienne strudzenie.

I nawet jeśli chwila ta przetrwać nie zdoła,
niechaj w górę się niesie moje dziękczynienie.

Nysa, 22, 24 i 28 maja 1991

Progi ocalenia

Maluczkich czas minął. Zostali
w zapisie Ewangelii i w ćmie
Średniowiecza.

Jak czasom obrzędu
do życia pod znakiem postępu,
gdy każdy może brać udział w grze
i na wysokiej płynąć fali.

Ten znak zaś - kiedy już obalił
„przesady wieków” - zwycięsko prze,
nie tnąc nikomu praw dostępu
ni do bogactwa, ni do urzędu
ni wykrzyczenia w twarz władzy: „nie!”.
Cóż - niżli to - ten świat ocali.

Maluczcy znikli. Cisi nikoną. Czyż idą tutaj ludzie znikąd?

Nysa, 15 października 1995

Wartość denara

Co nagli cię, by twoje imię szło
w tej usłudze, z którą śpieszysz chcąc
nad przelotną trwać pamięcią:
jak biały w korze znak w nacięciu,
jak oddźwięk brzmienia zawsze świeży,
jak słup kadzidła w wonnym dymie.

Czyż raczej nie trwa to, co ginie
z zapisu: „trzeba i należy”.
To, co drży w „między” żywą rtęcią,

co umie chcieć żyć w cudzym szczęściu,
cudze nieszczęście umie przeżyć
i daru chwili nie ominie.

Tak czas liczony dnia denarem
ma od przypadku wierną miarę.

Michałowice, 12 września 1995

Sens rymowania

Panu Kazimierzowi Kowalskiemu
z serdeczną myślą o dniu 4 marca 1992

W swym liście o poezji, w paryskiej „Kulturze”
Gombrowicz wykpił do cna wiersz rymami szyty,
widząc w nim nędzną nudę i puste błękity -
- wszystko to przy Miłosza prawie zgodnym wtórze.

Obaj w tych wierszach słyszają chrypkę zgranej płyty
z bulgotem słów Ojczyzna, Sztuka i Przedmurze
-jakby Polacy przeszli przez wojenne burze,
niosąc z sobą zaścianek żytnią wódą spity.

Lecz - mimo to - życzenia chcą dźwięczeć w sonecie:
w nim - namysł nad rymami ma nieść znak pamięci
i nie brać już za kpiny niczego w odwecie,

bo skoro wiersz się składa - niech rymem uświęci
życzenia żywotności, których treść w tym przecie,
aby trwała zwycięsko w żywym srebrze rtęci.

Uciszenie

Sam pozostałem... Głębina milczenia,
niewoląc myśli, nęci bym w nią poszedł...

Od ludzi-m wrócił pełen uciszenia
tych niepokojów, które w sobie noszę
i tego lęku przed własną małością,

co mnie ogarnia w progach mego domu...

Wśród ludzi żyłem nieznanym nikomu,
ale z uznaną człowieczą godnością,
odnaleziony, bogacz swojej jaźni,
Tu postać moja ukuta przez ludzi
w proch się rozpada i popiołem brudzi ,
tę aureolę ludzkiej wyobraźni
w którą swe czoło ukoronowałem.
Tutaj sam jestem - a głębia milczenia
jak najboleśniej sądzi i ocenia
me człowieczeństwo.

Czemu sam zostałem?

Potok

cienka najcieńsza nić

z biegłych palców prządki

światło przestrzeni

zgarnięte w miodową patokę

dotyk konwalii wywitych z czystej bieli

i osaczenie gorącą czerwienią maków

chrobot odkładanej skiby

uciekający od lemiesza wpieranego w ziemię

tętent koni wiozących weselną gromadę

zamknięcie poznania pod opuszczoną powieką

przeniesienie człowieczeństwa przez więzienne cele

zwyczajne męstwo zdobyte na bojaźni zła

cierpliwość wywalczona w utarczkach ze zniechęceniem

cięcie odśnaniające skażony oścień

śpiew dziękczynny bez słów

łzy oczyszczające

to

mowa nasza

potok czysty

pić do woli

schodzić w nurt - płynąć - skąpać się

oddychać.

Inwokacja do pradziada

Romanie

dla przypomnienia

A jeśli żyłbyś z nami wskrzeszany Pradziadzie

- z narodem spokrewniony bardziej niż z rodziną

-czy tropiłbyś ślad sensu w ojczystym nieładzie

podobnie jak tropiłeś: namysłem i drwiną?

Czy też złamałbyś wierność wziętej z chrztem zasadzie

i - sercem jak pięść twardym - na odlew odwinął,

sięgając ciosem ludzi, idących w parady

przez bramę nowych dziejów naklejanych śliną?

Borykałeś się z wierszem. Zbyt mała pojemność,

aby zmieścić w niej wszystką niewymierność słowa.

Podobny trud jest z nami. Czy inna daremność?

Czy każde pokolenie ma zacząć od nowa

i czy każde przejść musi laurowość i ciemność,

by tak-tak, nie-nie - prosto - mogła zabrzmieć mowa?

Nysa, 23 lutego 1984

Rapsod zwycięski

Poszły na wojnę
drużyny zbrojne,
na bój śmiertelny z wrogiem.

Poszli orężni
rycerze mężni -
- szło z nimi słowo: z Bogiem!

Poszli bez lęku
wśród broni szczęku
u granic witać wroga.
Poszli ofiarni ojczyźnie
karni -
- szło z nimi imię Boga.

Błogostawieni
cisi, skupieni
posiadą bowiem ziemię... Szły
ciche rotty
szarej piechoty, ruszyło ciche
plemię.

O, matko, Polko, co ciepłym uśmiechem
żegnałaś synów, krzyż kładąc na czołach

- dziś w niepokoju niesie ci pociechę cisza,
zamknięta w półmroku kościoła. Matko, ty
płaczesz?

O, matko, Polko, co pod lekkim słowem
ukryłaś ciężar pożegnania chwili
- dziś przed ołtarzem pochyliłaś głowę,
nad tobą Chrystus głowę swą pochylił... Matko, ty
płaczesz?

Dni niespokojne niosły wciąż wojnę
coraz to bliżej, bliżej.

Bitewną grozę.

przyniosły wozy

z wielkim, czerwonym krzyżem...

Na widnokręgach

pożarów wstęga -

- tam wrogie pułki stoją... Idą w

odwrocie

milczące krocie

zdziesiątkowane w boju.

Błogosławieni

ci umęczeni

oni posiadą ziemię...

Ciągnęli ludzie

w najwyższym trudzie,

dźwigając klęski brzemię.

O, matko, Polko, wtedy nie prosiłaś
o powrót synów, o ich ocalenie -
- wtedy ci duszę inna myśl krwawiła,
pod innym serce gięło się brzemieniem...
Płakałaś-Polko!

O, matko, Polko, czyli lęk o synów
rozparł się w tobie w tej strasznej godzinie,
kiedyś szeptała: Panie, niechaj zginą,
niech jeno Panie, ojczyzna nie zginie ...
Płakałaś matko!

Hen, od przedmieści
nadchodzą wieści -
gromada szeptów słucho:
towarzysz broni
był przy agonii,
sam grzebał swego druha.

Szeleszczą słowa,
chyli się głowa,
ktoś rękę mocno ściska.
Jakiś szkaplerzyk
na dłoni leży-
- na nim zgłoski nazwiska...

Błogosławieni:

snem uciszeni -

posiedli na wiek ziemię...

Z ziemi tej siły

wryte w mogiły

wyorze młode plemię...

O, matko, Polko, spowita żałobą,

oddana synom w żarliwej modlitwie,

ty wierzysz w siłę powierzoną grobom,

wierzysz w zwycięstwo w ostatecznej

bitwie. Ty czekasz matko!

O, matko, Polko, gdy stłumionym

słowem

ciszę kościelną różaniec rozpyła,

do góry wznosisz umęczoną głowę -

- nad tobą Chrystus swoją głowę schyla

-Ty ufasz matko!

Błogosławieni

cisi, skupieni

oni posiadą ziemię...

Padło milczenie

na pokolenie

co dźwiga klęski brzemię.

Piotrków, 13 marzec 1941

